PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM III

obejmujący
zeszyty 13—18
oraz
Album portretów
Serja III.

CENA zł. 3.

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.

POBYT NA RIWJERZE

(1884 r.)

Nicea i Villafranka nad morzem, Karnawał, Regaty morskie, Sezon kąpielowy, Korespondencje.

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA i WOLFFA
1923 r.

Zeszyt 15.

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

Nicea i Villafranka nad morzem.

(r. 1884 — 1885).

Dojeżdżając do Nicei w piękny słoneczny dzień 16 lutego 1884 r. na przedostatniej stacji kolei Villafranka czyli Villefranche sur mer rozpatrzyłem uważnie położenie tej ślicznej miejscowości. Od południa rozciąga się tam wielka głęboka zatoka morska otoczona z trzech stron wysokiemi górami. Jestto jakby naturalna cieplarnia z przepyszną roślinnością ogrodów kwiecistych, gajów oliwnych i lasów sosnowych na stokach gór.

Po krótkim przystanku na dworcu nadmorskim Villafranki, pociąg ruszył i wpadł w długi tunel pod Mont-Boron, z którego wyjechał wnet raźno na przedmieście i mały dworzec Riquier, przebył tunel Cimiez, i zatrzymał się na głównym dworcu Nicei pod wielkim dachem szklanym. Kilkaset osób wysiadło tłumnie. Portjerzy wielkich hoteli rozchwytali nowych gości usłużnie.

Ja, zabrawszy dwa kuferki ręczne, wyszedłem z Ma przed dworzec kolei, skąd udaliśmy się przez piękny skwer wprost naprzeciwko do pobliskiego „Hotel de la gare". Gospodarz niemłody francuz, poważny i bardzo uprzejmy, wziął nasze bagaże, i poprowadził nas na I piętro do dużego pokoju z balkonem o dwóch oknach frontowych z widokiem na dworzec kolei. Zamówiłem obiad, który wkrótce przyniosła nam na tacy, z butelką wina, sama gospodyni do naszego pokoju. Po obiedzie Ma położyła się dla wypoczynku po naszej długiej podróży z Warszawy przez Alpy nad Morze śródziemne.

Ja, dla rozruszania się, wyszedłem zaraz na miasto. Przez wielką aleę Avenue de la gare, przecinającą Niceę wzdłuż (podobnie jak ulica Marszałkowska Warszawę) między szeregami wysokich platanów, pełną ruchu i oświetloną rzęsiście, doszedłem do wybrzeża morskiego przy Pont des anges. W ogrodzie publicznym, przy Promenadzie angielskiej, w wielkiej restauracji z orkiestrą mandolinistów neapolitańskich, wypiłem szklankę wina Asti musującego — i tą samą drogą wróciłem do hotelu. Idąc spotykałem coraz większe tłumy publiczności podążające w stronę dworca kolei.

Wszedłszy do naszego pokoju już po godzinie 10-ej, ujrzałem Ma siedzącą na balkonie, otuloną szalem. Nagle zabłysła

wielka jasność przed dworcem kolei, a jednocześnie zagrzmiały trąby i bębny na powitanie „Księcia Karnawału“. Zahuczały gromkie okrzyki tłumów: „Niech żyje! niech żyje!!“ Jego książęca mość, w czerwonym kapeluszu z białem piórem strusiem, z puharem złotym w dłoni, zasiadł na wysokim rydwanie ciągnionym przez trzy pary koni. Wpośród blasku tysięcy pochodni, przy dźwiękach marsza tryumfalnego, ruszył olbrzymi pochód przez wspaniałą aleę Avenue de la gare na morskie wybrzeże Masseny, przed pałac Kasyna municypalnego. Tam w wielkiej sali balowej, ukwieconej barwnie różami, fijołkami i gałązkami pomarańcz, pełnej rozkosznych zapachów, oraz w przyległym ogrodzie zimowym pod szklanym dachem, wpośród palm i tysięcy lampjonów japońskich, wrzała całą noc huczna zabawa taneczna do białego rana — na cześć przyjazdu „Księcia Karnawału“.

Przed północą, po krótkim wypoczynku w salonie bocznym Kasyna, wyszedłem z Ma na skwer przed pałacem, i otwartym powozem wróciliśmy do naszego hotelu. Podrodze, na placach miejskich, przy dźwiękach muzyk wojskowych, rozbawione tłumy nicejczyków tańczyły jeszcze do późnej nocy w maskach i bez masek...

Nazajutrz Ma spoczywała dłużej jak zwykle. Ja zaraz po śniadaniu udałem się przedewszystkiem na stację kolei do biura towarowego dowiedzieć się, czy przyszły już moje paki z rzeczami, wysłane za frachtem zwyczajnym z Warszawy wprost do Nicei. Przejrzano dokładnie regestry, i powiedziano mi, że mój ładunek jeszcze nie nadszedł. Następnie w księgarni pobliskiej kupiłem wielki Plan Nicei z okolicami („Plan de Nice et ses environs“ ryty przez F. Dufoura, wydany w Paryżu przez firmę Garnier Frères drukiem Dufernoy) i udałem się na poszukiwanie stałego mieszkania w stronę Villafranki główną szosą nadmorską.

Za portem na przedmieściu Mont-Boron, dostrzegłem dużą białą kartę z ogłoszeniem o mieszkaniu do wynajęcia, umieszczoną obok tablicy marmurowej z napisem „Villa Gambetta“. Zaciekawiony wszedłem do ogrodu, w którym pani staruszka podlewająca kwiaty, zapytała mię żywo: — Vous desirez voir monsieur Gambetta, mon frère?

I nie czekając na moją odpowiedź, poprowadziła mię zaraz pod słoneczną werandę ocienioną pnącemi różami. Na dużym fotelu siedział tam staruszek zgrzybiały z gazetą w ręku, który uśmiechając się uprzejmie, podał mi prawicę. Był to brat wielkiego oswobodziciela Francji Leona Gambetty, którego piękny pomnik zdobi jeden z placów Nicei. Po krótkiej rozmowie, obejrzałem mieszkanie do najęcia, na I piętrze, złożone z pięciu pokoi umeblowanych z komfortem, więc zaobszerne dla mnie i zbyt drogie. Pożegnawszy się poszedłem dalej.

Podrodze obejrzałem jeszcze kilka innych mieszkań w willach u podnóża Mont-Boron, minąłem wielkie ogrody, pałac

Walewskich (dawniej t. zw. Chateau-Smith), pałac księcia Oldenburskiego, oraz piętrzystą willę Biancherich. Wreszcie, w pobliżu Villafranki, zadzwoniłem jeszcze do żelaznej bramy Villa Bleu, na której wisiała biała karta z napisem: „Chambres à louer".

Nadszedł portjer i zaprowadził mię za willę do ślicznego ogrodu, gdzie gospodarz siwowłosy, wysoki tęgi mężczyzna, w kapeluszu słomianym, karmił złote rybki w dużym basenie fontanny. Po przedstawieniu się wzajemnem doktór Jeannel zaprowadził mię na I piętro swej willi w długi korytarz, przy któtym otworzył dwa pokoiki umeblowane dostatnio, do wynajęcia za bardzo umiarkowaną cenę po dwa lujdory miesięcznie. Zapłaciłem zaraz zgóry za miesiąc, wziąłęm klucze od mieszkania, zostawiłem mój bilet wizytowy, i obiecałem przyjechać nazajutrz z rzeczami. Przy pożegnaniu dr. J. ułożył duży bukiet z róż, i ofiarował mi go dla Ma, poczem odprowadził mię do bramy i zamknął ją starannie na zatrzask.

Przejeżdżający szosą omnibus konny zatrzymał się na moje skinięcie. Zająłem jedyne wolne jeszcze miejsce wewnątrz, wpośród wielkich koszów róż ciętych i fijołków, które wieśniaczki z okolicy wiozły na targ do Nicei. Omnibus stanął na stacji głównej w śródmieściu przy bulwarze Nowego mostu nad rzeką Paillon, niedaleko Kasyna miejskiego, skąd przez Avenue de la gare doszedłem do naszego hotelu. Oddałem Ma bukiet róż od doktora Jeannela, i opowiedziałem o mieszkaniu wynajętem w „Willi błękitnej".

Po obiedzie w naszym hotelu, poszliśmy razem na wybrzeże morskie Promenade des anglais do Ogrodu miejskiego na koncert wykonywany uroczo przy akompańjamencie szumu fal morskich.

Wracając do domu spotykaliśmy mnóstwo masek w kostjumach charakterystycznych, a nawet wprost humorystycznych, jak np. ogromne grzyby, wielkie parasole rozłożone w których grubej rękojeści ukryty był człowiek, nawet olbrzymie fajki z długiemi cybuchami i kudłate niedźwiedzie spacerujące po placach i ulicach, nie licząc mnóstwa hiszpanów, szkotów, turczynek i t. p. w ubiorach narodowych.

Po kolacji w hotelu — wczesny spoczynek. Nazajutrz bowiem rano zaraz po śniadaniu zapłaciłem cały rachunek hotelowy, i wyszedłem zakupić na mieście różne wiktuały: cukier, herbatę, kawę mieloną, bułki, masło, sery, wędliny, cytryny i pomarańcze — wszystko opakowane starannie w woreczku plecionym z grubego szpagatu.

Służący hotelowy sprowadził powóz odkryty, tak zwane lando, ułożył nasze dwa kuferki na koźle w nogach przy stangrecie, i ruszyliśmy szparko do nowego mieszkania przy Route de Villefranche.

W bramie willi dzwonek — wyszedł portjer, zabrał kuferki. Zapłaciłem fiakra i przez barwny kwietnik z wodotryskiem

przed frontem willi poszliśmy wprost do naszego mieszkania na piętro. W pokoju sypialnym był ładny kominek marmurowy, ze stosem łupek i suchej kory z drzewa oliwnego. Rozpaliłem ogień, który naprędce ogrzał przyjemnie mieszkanie. Po krótkim wypoczynku, poszliśmy pieszo na obiad do pobliskiej Villafranki pół kilometra szosą gładką, czystą i suchą. Dzień był pogodny, słoneczny; w końcu lutego w południe ciepłomierz centigrad pokazywał na dworze + 15° wyżej zera.

Po lewej stronie szosy wiła się w górę wązka drożyna po skalistej pochyłości, zarośniętej gęsto dzikiem kwieciem i krzaczkami rozmarynu, od których ciepły wietrzyk niósł silny zapach podobny do aromatu naszej macierzanki. Powyżej rozciągały się terasy bujnych ogrodów, otaczające większe i mniejsze wille. Za niemi lasy sosny alpejskiej.

Po prawej stronie szosy na brzegu morskim piętrzyły się wyniosłe mury starej cytadeli, którą otaczał wokół obszerny plac poziomy, gładki, w rodzaju esplanady. Na nim odbywał się właśnie przegląd kilku bateryj artylerji górskiej. Liczne szeregi mułów z obsługą wojskową manewrowały sprawnie pod komendą oficerów. W pochodach po ścieżkach górskich, często nad przepaściami idą te muły pojedynczo jeden za drugim z artylerzystami pieszo. Pierwszy muł ma na grzbiecie przymocowaną pasami lufę armatki, drugi małą lawetę, trzeci skrzynkę z nabojami, czwarty narzędzia różne do czyszczenia i inne pomocnicze, piąty części zapasowe uprzęży, szósty idzie luzem jako wierzchowiec dla jeźdźca wrazie potrzeby. Oficerowie na konikach górskich kierują manewrami. Każda baterja składa się z sześciu armatek i 36 mułów z odpowiednią liczbą artylerzystów.

Za cytadelą na przedmieściu Villafranki, przy ładnych domkach murowanych, za sztachetkami żelaznemi, wśród bujnej zieloności i smukłych cyprysów, kwitły przepyszne róże różnobarwne.

W restauracji przy Promenadzie ocienionej drzewami, obok małej przystani morskiej, w której szeregi łodzi stały na kotwicy, przywiązane linami do pali żelaznych, podano nam obiad. Na przekąskę sardynki z połowu miejscowego, zupę pomidorową czysta na rosole z ryżem, smażone na świeżej oliwie „rougety" rybki morskie podobne do naszych karasi lub pstrągów, bardzo delikatne, wreszcie na deser kompót mięszany, do tego butelkę wina Asti musującego jak szampan i kawę czarną.

Po obiedzie poszliśmy sąsiednim bulwarem nadmorskim na plażę kąpielową, ciągnącą się szeroko wzdłuż wysokiego na kilkanaście metrów wielkiego podmurowania, nad którem stoi dworzec kolei żelaznej. Wracając przez górną część miasteczka Ma wstąpiła ze mną do kościoła, z którego terasu rozpościerał się wspaniały widok na wielką zatokę morską i góry sąsiednie.

W składzie drzewa na przedmieściu zakupiłem duży worek drobnych łupek sosnowych i suchej kory oliwnej na rozpałkę.

Chłopak mulnik zawiózł za nami do Willi błękitnej worek na grzbiecie osiołka umocowany powrozem, zaniósł na górę do naszego mieszkania i ułożył drzewo przy kominku.

Po przechadzce naszej, Ma leżąc na szezlongu rozpatrywała mój wielki plan Nicei z okolicami, oraz mapę topograficzną wybrzeża Rivjery zachodniej, przez które przybyliśmy z Genui do Nicei.

Ja tymczasem rozpakowałem swój kuferek podróżny. Zawiesiłem suknie w szafie z wieszadłami, drobiazgi toaletowe ułożyłem na umywalni, a książki, mapy i papiery do korespondencji na biurku w saloniku.

Potem zeszliśmy nadół do ogrodu. Na białej ławce, pod rozłożystym karubem (Caratonia siliqua L. cz. świętojanek) pokrytym wielkiemi strąkami t. zw. „chleba świętojańskiego", siedzieli państwo Jeannel'owie. Doktór zapoznał nas ze swoją małżonką. Była to dama już niemłoda, o siwych bujnych włosach, bardzo miła i uprzejma, w czarnej sukni lekkiej, z robótką w ręku.

Nasi gospodarze zaproponowali nam przechadzkę po ogrodzie. Najprzód pokazano nam obok willi budkę drewnianą, ze ścianą przednią z siatki drucianej, do której podbiegło gilkanaście wielkich królików szarych brać z ręki podawane im liście sałaty. W pobliżu też wznosiła się cieplarnia oszklona w której dr. J. chodował same tylko begonje w kilkudziesięciu gatunkach i odmianach, o przepysznych kwiatach różnobarwnych.

Dalej ogród rozpościerał się na rozległej pochyłości skalistej, której wklęsłości mniejsze i większe napełnione były ziemią bardzo urodzajną dla uprawy kwiatów i jarzyn rozmaitych.

Wpośród grupy drzew pomarańczowych, z owocem już dojrzewającym, bił wysoko wodotrysk, w którego basenie kolistym igrało na słońcu stado złotych rybek. Tu i owdzie rozrzucone bujne krzewy róż okryte były różnobarwnem kwieciem. Na górnych grzędach zieleniły się rozliczone jarzyny, rozmaite gatunki sałaty, ogromne kalafjory, pomidory, karczochy, wielkie truskawki czerwone i białe, okolone rzędami krzaków agrestu, porzeczek i malin białych.

W górnym końcu ogrodu wielka cysterna murowana, pokryta gładko cementem, gromadziła wody deszczowe spływające z wąwozu sąsiedniego i służyła do nawodnienia grządek podczas suszy, przy pomocy kranu mosiężnego i kiszek płóciennych. Obok na granicy ogrodu stało jakby na straży kilka wysmukłych cyprysów wiecznie zielonych. Za niemi szereg agaw olbrzymich, z długiemi łodygami pokrytemi kwiatem bladożółtym.

Tam spoczęliśmy na ławce ogrodowej, rozkoszując się wspaniałym widokiem Alp i wielkiej zatoki morskiej szafirowej, nad której brzegiem drzemały w półcieniu białe domki Villafranki.

Zapytałem doktora dlaczego jego ogród nie był wcale oparkaniony? Tylko niska miedza z szeregu płaskich kamieni wa-

piennych oznaczała granice. Doktór J. objaśnił, iż mimo to nikt obcy tam nie wchodzi i żadnych szkód tam niema. Że podobnież sąsiednie sady drzew pomarańczowych i gaje oliwne nie są ogrodzone, a nikt owoców nie zrywa, nawet nie podnosi z ziemi opadków leżących na ścieżkach przechodnich. Takie tam jest poszanowania prawa własności i wysoka kultura ludu.

Tuż za ogrodem dra Jeannela rozpościerał się wielki las sosnowy pokrywający Mont-Boron i góry sąsiednie.

Wracając przez ogród gospodarz nasz ułożył prześliczny bukiet i ofiarował go Ma, mnie pożyczył kilka numerów najświeższych gazet nicejskich do przejrzenia wieczorem.

Wkrótce potem w naszym pokoju sypialnym rozpaliłem na kominku ogień, Ma naparzyła herbatę. Po przejrzeniu gazet zasnęliśmy spokojnie wpośród głębokiej ciszy nocnej.

Nazajutrz rano młoda żona portjera willi, pani Janowa, przyniosła nam świeżej wody do mycia i wzięła obuwie do czyszczenia. Umówiłem się z nią o posługę codzienną i dałem bieliznę do prania. Objaśniła nas, że w korytarzu, obok naszego mieszkania, zajmuje takież dwa pokoje umeblowane krewna pana doktora Jeannela, stara zakonnica z młodą towarzyszką nowicjuszką z klasztoru zamkniętego przez rząd francuski. Dalej za niemi kwateruje w paru pokojach dwóch oficerów artylerji, którzy konie swe mają na stajni w koszarach obok cytadeli, a stołują się w klubie wojskowym. Zakonnice stołują się u państwa gospodarzy, którzy zajmują cały parter z kuchnią. Janowa jako kucharka ma tam obok osobny pokoik ze swoim mężem, i prowadzi całe gospodarstwo. Jan jest zarazem ogrodnikiem i lokajem, i załatwia wszelkie sprawunki w mieście. Mleko wyborne przynosi codzień raniutko mleczarka włoszka, właścicielka krowiarni w sąsiedztwie. Prosiłem Janowej, aby zamówiła dla nas dwa litry mleka codziennie, i żeby nam przynoszono świeże bułki z piekarni co rano.

W kilka dni potem pani Janowa przyniosła na ręku swoją śliczną córeczkę, w poduszce z falbanami suto haftowanemi, prosto od chrztu z kościoła. Ofiarowałem matce luidora na czepeczek, a Ma uszyła dla małej białą kapotkę z kokardami z wstążeczek o barwach narodowych francuskich. Janowa była miła kobiecina, wygadana francuzka zawsze wyświeżona. Jan tęgi blondyn wysoki z wąsami polskiemi, tubylec o głowie rzymskiej, może potomek kolonistów z legjonów Cezara, zawsze pogodny, uśmiechnięty, ugrzeczniony i łagodny, jak zwykle olbrzymi.

Stróżem domu, we dnie i w nocy czujnym, był wielki pies rasy alpejskiej Bernarda. Jego towarzyszem duży kot angorski, śnieżnobiały z długim puszystym ogonem.

W Willi błękitnej było nam dobrze i zacisznie, ale zbyt etykietalnie. Panował tam ogólny nastrój arystokratyczny. Dokrór Jeannel dawniej paryżanin, był dżentelmenem wytwornym; pani doktorowa poważna i elegancka. Kontrast dziwny stanowiła

tam nonszalancja sportsmeńska oficerów artylerji konnej z mniszą skromnością klasztorną dwóch zakonnic naszych sąsiadek. Wszystko to razem było dla nas bardzo krępujące. Od wczesnego rana trzeba było ubierać się co najmniej spacerowo, jeśli nie w biały krawat. Dla tego myślałem ciągle o zmianie mieszkania, i uprzedziłem naszego gospodarza.

Na przechadzkach codziennych z Ma, przed południem i po południu w okolice Villafranki, oglądaliśmy różne mieszkania do najęcia na przedmieściach miasteczka. Były tam niektóre wygodne i czyste, ale w domach bez ogrodów.

Raz poszliśmy do pobliskiej sadyby naszej mleczarki włoszki, powyżej „Villi bleu", pod skałąmi stromemi na podlasiu. Na zielonej polanie, wpośród drzew rozłożystych bielał w słońcu domek murowany, kryty dachówką czerwoną, otoczony ogródkiem kwiatowym, z werandą ocienioną bujnym powojem. Obok obora murowana, z oknami oszklonemi, mieściła kilkanaście wielkich krów maści szarej, utrzymanych czyściutko. Stóg siana alpejskiego aromatycznego pokryty był daszkiem ze słomy. Na kołkach sztachet ogrodzenia suszyły się na słońcu błyszczące naczynia. Mówiła nam mleczarka, że krów nie prowadza na pastwisko bo go nie ma. Zakupuje tylko zapas ładnego siana górskiego z dolin sąsiednich; właśnie mąż jej pojechał po nie wozem. Nalała nam dwie szklanki wybornego świeżego mleka, i na tacy postawiła na stoliku pod werandą. Wkrótce przybiegły tam ze szkoły dwie córeczki mleczarki ładne brunetki: starsza 10-letnia Paola, młodsza 8-letnia Nina. Rano, idąc do szkoły, przynosiły nam mleko do domu.

Wracając z mleczarni do domu wstąpiliśmy do pobliskiego ogrodu otoczonego niskim murem. Na bramie wjazdowej, w narożniku muru, bielała karta z napisem „Maison à louer". Obok tabliczka marmurowa z nazwą domu „Villa Bellevue". Brama z prętów żelaznych była zamknięta na haczyk od zewnątrz, dzwonka wcale nie było. Weszliśmy zahaczywszy bramę za sobą.

Ogród leżał na słonecznej pochyłości góry skalistej wpobliżu Villafranki. Od bramy ukosem w prawą stronę wiodła podgórę uliczka, wznosząca się po stopniach z kamieni płaskich, szerokich. Po obu stronach nalewo i naprawo rozciągały się wpoprzek ogrodu terasy pedmurowane z grzędami ziemi uprawnej. Na nich kąpały się w słońcu: przepyszne kalafjory, karczochy, pomidory, sałaty główiaste i karbowane, kapusta włoska, buraki, marchew, pietruszka, cebula, ogórki, arbuzy, melony i t. p. Pod murami winorośl z gronami jeszcze zielonemi, opuncje kolczaste z żółtym kwiatem i olbrzymie agawy oraz pelargonje różnobarwne. Kilkanaście grubych drzew oliwnych ocieniało nieco szeregi śliw francuskich, renklod, drzew figowych, migdałowych, niesplików i innych. Ogród zajmował wielki prostokąt, wpośrodku którego jaśniała w słońcu biała willa murowana, piętrowa, pokryta czerwoną dachówką z rynnami blaszanemi.

Przed otwartemi drzwiami parteru, na ławeczce drewnianej siedziała kobieta w średnim wieku, czarnowłosa opalona włoszka, w zielonym kaftanie i pąsowej spódnicy flanelowej, w białych pończochach i pantofelkach skórzanych. Robiła na drutach pończochę z bawełny. Nieprzerywając roboty, zapytała po francusku: czego sobie życzymy? Odrzekłem, że chcemy obejrzeć mieszkanie do najęcia. Wzięła klucz, i po kilku stopniach kamiennych uliczki zawiodła nas na szeroką platformę wyłożoną białemi taflami marmuru, przed drzwi pierwszego piętra willi. Obok, od strony południowej rzucało chłodny cień rozłożyste drzewo oliwne, pokryte bujnym liściem i kwiatem.

Włoszka otwarła drzwi piętra, które składało się tylko z dwóch pokoi, każdy o jednem oknie od strony południowej. Pierwszy pokój stanowił salonik pomalowany różowo, drugi pokój błękitny miał w kącie małą kuchenkę kaflową z rusztami do palenia węglem drzewnym, z daszkiem od komina. W drugim kącie w podłodze były małe drzwiczki kwadratowe od wielkiej cysterny w suterenie. Włoszka otwarła je, spuściła na sznurze po bloku wiszącym u sufitu wiaderko blaszane, i wyciągnęła je pełne wody czystej jak kryształ i zimnej jak lód, zbierającej się w cysternie z rynien na dachu po każdej ulewie.

Po obejrzeniu mieszkania, poszliśmy jeszcze wgórę ogrodu aż do muru granicznego, w którego narożniku mała furtka drewniana, zamykana zasuwą żelazną, prowadziła wprost na starą drogę górną przez Mont-Boron do miasta Nicei.

Z tej górnej części ogrodu, zpoza drzew migdałowych okrytych bujnym kwiatem różowym, rozpościerał się wspaniały widok na góry zielone sąsiednie i morze szafirowe, na którego dalekim widnokręgu majaczyły blado-błękitne szczyty gór wyspy Korsyki.

Schodząc z powrotem nadół, dałem włoszce zadatek na mieszkanie, wziąłem klucz, i zostawiłem mój bilet wizytowy z adresem naszego mieszkania w „Villa bleu“ u doktora Jeannela. Włoszka nadmieniła, że w razie potrzeby mogłaby się zgodzić do posługi i do prania, gdyż mieszka tam stale w pokoju na parterze, z mężem kamieniarzem, który chodzi do miasta do roboty. Żegnając się uprzejmie odprowadziła nas do bramy dolnej i podała nam adres właściciela ogrodu „Belle vue“ pana Michała Stagnetto, który w pobliskiej Villafrance ma restaurację i skład win, przy wybrzeżu morskiem.

Wkrótce potem, dnia 23 lutego w sobotę rano, udałem się do p. Stagnetty do miasta. Jego restauracja i winiarnia mieściły się przy wąskiej ulicy prostopadłej do wybrzeża morskiego, niedaleko przystani miejskiej. Gospodarza zastałem siedzącego za bufetem, zastawionym butelkami i przekąskami różnemi. Jego młoda żona, hoża brunetka, nalewała czarną kawę paru gościom przy osobnym stoliku.

Pan Stagnetto, szatyn ciemny, krępy średniego wzrostu, lat około 30-tu, powitał mię z wyszukaną grzecznością (zwykłą tam względem cudzoziemców, z których ludzie żyją na Rivjerze) wspomniał, że włoszka z ogrodu przyniosła mu już mój zadatek na mieszkanie, i że gotów jest zrobić ze mną kontrakt. Wyjął z szuflady dwie ćwiartki papieru stemplowego po 50 centimów, prosił mię spocząć przy stole środkowym, i zapytał czy pozwolę służyć sobie szklaneczką wermutu? Gospodyni, witając mię uprzejmie, nalała nam wino, które wypiłem zaraz za jej zdrowie. Po ułożeniu warunków umowy, gospodarz spisał ją w dwóch egzemplarzach w osnowie następującej:

„Bail. Entre le Sieur Stagnetto Michel, propriéteur à Villefranche d'une part — et le Sieur Stanislas Czarnowski redacteur de Varsowie de la Pologne d'autre part — a été fait le bail suivant:

Le Sieur Stagnetto donne à bail au Sieur Czarnowski, qui accepte, le prémier etage de la maison qui se trouve dans sa propriété sise au quartier Saffranet terrain de cette Ville.

Ce bail est fait et accépté pour le delai d'un an à partir du quatre mars prochain, pour et moyennant de prise deux-cents et cinquante francs, qui sera payé par trimestre et d'avance.

Il est bien entendu entre les parties, que la présente location n' a trait qu' a l'etage de la maison dont il s'agit, avec la jouissance de trois petits coins de terre, qui se trouvent en montant et derrière la dite maison, d'une sufrace total ce trois coins de terre de soixante quinze metres carré environ.

Le preneur pour s'introduire dans l'etage de la maison, qui fait l' object de la présente location, devra se servir du sentier, qui donne l' acces à la propriété du coté de la Ville.

Tout le restant de la propriété Stagnetto est absolument exclu de la présente location, et il est entendu, que le préneur ni les siens ne pourront toucher a rien que se soit ni aux récoltes ni aux fruits de la propriété, sous peine de tous dommages, ayant droit seulement de prendre l'eau de la Citerne.

Il est absolument convenu que le preneur ne pourra ceder ses droits de la location sans l' autorisation du bailleur.

Fait double et de bonne foi à Villefranche, le vingt trois fevrier mille huit cent quatrevingt quatre (1884).

(Podp.) Michel Stagnetto — Stanislaw Czarnowski".

Wychodząc z winiarni p. Stagnetty, spostrzegłem obok szyldu z firmą nade drzwiami, latarnię z napisem na jednej z szyb dużemi literami: WODKI. Gospodarz objaśnił mię, że w roku zeszłym stacjonowała w zatoce Villafranki eskadra wojenna ruska, więc dla jej marynarzy kazał zrobić ów napis orjentacyjny... Nadmienił, że wkrótce przybędzie też eskadra francuska z Tulonu i amerykańska z New-Yorku, i że w każdą niedzielę po południu będzie można zwiedzać pancerniki bezpłatnie.

Nazajutrz po zawarciu kontraktu z p. Stagnettą, wybrałem się zaraz po śniadaniu z dworca kolei Villefranche na stację towarową w Nicei, z listem frachtowym wysyłki moich pak z Warszawy. Lecz i teraz, pomimo dokładnego przepatrzenia całego magazynu i odnośnych regestrów z kontrolerem ekspedycji, stwierdzono, że paki moje jeszcze nie nadeszły. Wobec tego zostawiłem mój adres na bilecie wizytowym, z prośbą o zawiadomienie mię zaraz po nadejściu pak. Prócz tego wysłałem niezwłocznie dwie depesze: Jednę do zawiadowcy stacji towarowej kolei wiedeńskiej w Warszawie; drugą do kolegi mego uniwersyteckiego Karola Strasburgera, podówczas dyrektora wydziału finansowego kolei wiedeńskiej, z prośbą o interwencję w tej sprawie. Protekcja kolegi okazała się najskuteczniejszą. Albowiem w tydzień potem otrzymałem zawiadomienie od zawiadowcy stacji w Nicei, że paki moje nadeszły, i że są złożone do odebrania w Komorze cłowej w porcie morskim.

Natychmiast udałem się tam omnibusem osobowym, przejeżdżającym szosą koło Villa-bleu. Wysiadłem wpobliżu portu i dopytałem się o biuro Komory cłowej. Mieściło się podówczas w czteropiętrowym gmachu u stóp Góry miejskiej, przy wybrzeżu, wzdłuż którego stały rzędem na kotwicy szeregi pięknych jachtów żaglowych i łodzi wiosłowych Yacht-klubu nicejskiego. Po przedstawieniu mego listu frachtowego, zaprowadzono mię do wielkiego składu, gdzie wkrótce odszukano według numerów i signum S. C. moje paki drewniane. Otwarto je wszystkie kolejno. Lecz gdy objaśniłem, że są w nich tylko moje rzeczy domowe, nienowe, potrzebne do użytku osobistego podczas dłuższego pobytu na Riwjerze, urzędnicy Komory nie wymagali aby wszystko wyjmować i paki zaraz zabito. Po wniesieniu małej opłaty rewizyjnej, wydano mi kwit i wszystkie paki do zabrania.

Z adnotacji na kolejowym liście frachtowym, objaśniono mię, że na granicy niemiecko-francuskiej przeklęte szwaby, dla jakichś marnych formalności tranzytowych, przetrzymali moje paki aż kilka tygodni. Zakląłem siarczyście:

— Bodaj pioruny zatrzasły szwabów!!

A, francuzi przyklasnęli mi: brawo!

Natychmiast obok Komory nająłem dużą platformę i tragarzy, którzy paki moje naładowali zręcznie i umocowali sznurami. Ruszyliśmy zaraz szparko szosą gładką jak stół, i przybyliśmy do willi Belle-vue jeszcze przed południem. Tragarze znieśli pomału wszystkie paki do nowego mieszkania, które zaraz zamknąłem starannie. Po zapłaceniu ludzi i furmana, pośpieszyłem do Ma opowiedzieć jej o pomyślnem załatwieniu wszystkiego.

Po wczesnym obiedzie w restauracji p. Stagnetty, poszliśmy z Ma do nowego mieszkania. Przedewszystkiem w obu pokojach otwarłem okna szeroko. Ciepły wietrzyk słoneczny

wionął roskosznym aromatem kwiatu pomarańcz, róż, rozmarynów i sosen z ogrodów i lasów pobliskich. Potem odbiłem paki złożone rzędem w pierwszym pokoju siekieromłotkiem moim, a obcążkami powyjmowałem wszystkie gwoździe starannie, aby nie darły rzeczy.

W drugim pokoju, pod ścianą poprzeczną, w dwóch kątach ułożyłem na sposób orjentalny na ziemi dwa posłania z grubych materaców włosianych; na nich kołdry zimowe pokryte prześcieradłami, wreszcie poduszki i lekkie kołdry letnie.

W dużej szafie z wieszadłami, wpuszczonej w mur, umieściłem: futra, palta i ubrania różne. Na szerokiej umywalni drewnianej — dwie miednice biało emaljowane. Na stoliku pod oknem ustawiłem źwierciadło z podporą składaną i drobiazgi toaletowe. Obok dwa stołki wyplatane.

W pierwszym pokoju wpośrodku stojący stół okrągły nakryłem ceratą śnieżnobiałą, jako jadalny. Ma postawiła na nim duży wazon zielony i wyszła do ogrodu po kwiaty z naszych grządek za domem. Ja tymczasem naciągnąłem wiaderko wody z cysterny parterowej i nalałem do wazonu. Wielki bukiet różnobarwny napełnił wnet pokoje zapachem rozkosznym.

Między oknem a drzwiami wchodowemi pod ścianą poprzeczną ustawiłem największą pakę drewnianą podłużną, wysoką jak stół, do pisania — otworem nazewnątrz na nogi, i pokryłem ją całą arkuszem grubego papieru pakowego. Na niej ustawiłem wpośrodku ekrytoar z popiersiem Kopernika, zboku lampę z kloszem błękitnym, książki podręczne, słowniki i różne przybory piśmienne. Ponad paką nad ścianą zawiesiłem na ćwieczkach wielką mapę wszystkich części świata, po lewej stronie mapę współczesną Europy, po prawej mapę historyczną Polski od morza do morza.

Na innych ścianach w obu pokojach rozwiesiłem duże fotografje widoków miast z naszej podróży: widok Warszawy od strony Wisły, Krakowa z zamkiem Wawelu, Wiednia, Monachjum, Curychu, Medjolanu, Genui i Nicei.

W krótce potem wróciła z miasta nasza sąsiadka włoszka Irena ze swojemi sprawunkami, a zobaczywszy na piętrze okna otwarte przyszła do nas z butlą wina białego i szklaneczkami na tacy — na powitanie w nowem mieszkaniu. Nadszedł też z miasta od roboty jej mąż. Zawołała go przez okno, aby przyszedł do nas ze swoją mandoliną. Tęgi brunet wysoki, z dużą czarną brodą, opalony jak cygan, w aksamitnej kurtce bronzowej, przedstawił się jako Enrico Negroni. Prosiłem go aby spoczął i zanucił nam jaką wesołą piosenkę ludową. Po kilku toastach, pożegnaliśmy naszych sąsiadów, prosząc o opiekę nad mieszkaniem, i wróciliśmy już o zmroku do „Villa bleu" na kolację.

Po przejrzeniu świeżych gazet nicejskich, zakupionych przeze mnie po obiedzie w Villafrance, zapaliłem maszynkę spirytusową i nastawiłem buloar z wodą, która w krótce zawrzała.

Ma naparzyła herbatę. Potem na dwóch talerzach białych emaljowanych nakrajała plasterki cebuli, nałożyła, po łyżce masła medjolańskiego; po roztopieniu go pokładła na cebuli połówki wielkich pomidorów, popieprzyła je nieco, a gdy sok puściły, wbiła na nie po kilka żółtek jaj z białkami. Za chwilę była gotowa ta łatwa włoska potrawa. Ser parmezan z bułkami, parę szklaneczek wina białego krajowego (vin du pays) soczyste gruszki diuszesy i świeże pomarańcze (po 2 grosze sztuka) uzupełniły tę małą ucztę naprędce zaimprowizowaną.

Przeglądając po kolacji ostatnie gazety nicejskie „Le petit Niçois“ i „L'Eclaireur du Littoral“ znalazłem dołączony do nich wielki program zabaw i uroczystości karnawałowych sezonu zimowego 1884 r. p. t. „Programme générale des fêtes de la saison hivernale 1884 à Nice“.

Przed naszym przyjazdem do Nicei odbyły się już 12, 15 i 18-go stycznia wielkie wyścigi konne w hipodromie przy ujściu rzeki Var do morza. Potem inauguracja nowego Teatru miejskiego, odbudowanego na miejscu zniszczonego przez wielki pożar. W sam dzień naszego przybycia do Nicei trafiliśmy na kulminacyjną uroczystość wjazdu „Księcia karnawału“ i bal maskowy w Kasynie municypalnem, o czem już nadmieniłem powyżej.

Nazajutrz program zapowiadał „Corso galowe“ i wielką bitwę kwiatową z konkursem najpiękniej przybranych pojazdów. Nazajutrz też zaraz po wczesnym obiedzie, kazałem Janowi zawołać fiakra, i pośpieszyliśmy do Nicei na bulwar nadmorski. W ogrodzie miejskim w kawiarni, zapijając mazagran, przyglądaliśmy się świetnemu korowodowi ozdobnych pojazdów, przybranych bogato i fantazyjne w różnobarwne kwiaty. Bardzo estetycznie przedstawiał się lekki faeton koszykowy, ubrany w duże białe rumiany — koła, szprychy, dyszel, uprząż koni i lejce oplecione były kwieciem białem Dwie piękne młode damy też biało ubrane, z kosza pełnego róż i fijołków przypiętego na przodzie faetonu, obrzucały kwiatami spotkanych znajomych. Inny pojazd dwukołowy wysoki amerykan, zaprzężony w kare konie, przybrany był cały w pełne fijołki parmeńskie. Na przedniem siedzeniu jakiś młody rudowłosy anglik w paltocie, miał cały kołnierz utkany fijołkami i czapkę takoż, jakby z baranka fioletowego. Niezliczone szeregi powozów, wolantów, nawet platform z ławkami, snuły się powoli w strony przeciwne. Bombardowano się wzajem na upatrzonego. Panowie damy — damy panów. Podlotki i dzieci pomagały dobywając amunieję kwiatową z wielkich koszów ustawionych pod nogami. Wkrótce coraz gęstsze tłumy widzów, stojących na chodnikach po obu stronach szerokiej jezdni, zasłoniły nam te świetne korowody. Słońce zaszło, zmrok zapadł. Tysiące lampjonów różnobarwnych zabłysło w pośród drzew ogrodu miejskiego i skwerów sąsiednich Zakupiłem świeże gazety w kiosku, i z pobliskiej stacji omnibusów

konnych dojechaliśmy w krótce do Willi błękitnej, na zwykłą kolację domową.

W dniu 4 marca rano, w tak zwany tłusty wtorek, stosownie do kontraktu zawartego z p. Stagnetto, upakowałem nasze dwa kuferki podręczne i kosz wiktuałów. Pożegnaliśmy siedzących w ogrodzie przy śniadaniu naszych gospodarzy państwa Jeannelów. Służący Jan zaniósł za nami pakunki do pobliskiej willi Bellevue, otrzymał chojną zapłatę, i życzył nam przyjemnego pobytu na nowem mieszkaniu.

Po obiedzie, przy pięknej pogodzie słonecznej, poszliśmy do pobliskiego portu Villafranki, skąd na małym parowcu spacerowym dopłynęliśmy w pół godziny do portu Nicei — na wielką uroczystość morską zakończenia karnawału. W kawiarni nadbrzeżnej, na wysokiej werandzie zajęliśmy miejsca przy osobnym stoliku. Ruch uliczny maskaradowy wzmagał się coraz bardziej. Przed pałacem Merostwa rozdawano nagrody i barwne bandery za najpiękniej przybrane pojazdy podczas ostatniej bitwy kwiatowej. Z nastaniem nocy wyruszył stamtąd gromadny korowód z pochodniami, przy hucznym marszu orkiestry miejskiej.

Na wielkiej tratwie z belek na morzu, ustawionej na kotwicy naprzeciwko portu, zapalone olbrzymie ognie sztuczne, całe wulkany rakiet z rojem gwiazd różnobarwnych, wytryski i młyńce ogniowe z hucznemi wystrzałami naprzemian — wszystko to zdwojone w migotliwem zwierciadle fal morskich przedstawiało widok czarodziejski z tysiąca i jednej nocy. Mnogie łodzie i jachty klubowe, oświetlone barwnemi lampjonami na masztach i rejach krążyły wdłuż wybrzeża do późna. Po wieczerzy w restauracji portowej, wróciliśmy powozem do domu przy blasku księżyca na nowe mieszkanie, wokoło którego drzemał już bujny ogród, pełen roskosznej woni kwiecia, w pośród głębokiej ciszy nocnej.

Nasz gospodarz przychodził często do swego ogrodu, gdyż sam go uprawiał i pielęgnował, opatrywał drzewa i krzewy owocowe. Przyprowadzał z sobą osiołka burego, który skubał tam trawę i zioła smakowite. Potem gospodarz ładował nań dwa kosze z jarzynami, owocami i kwiatami do restauracji swojej w mieście.

Widząc że porządkuję teras koło naszego mieszkania, p. Stagnetto zwrócił mi uwagę, że już wielki czas uprawić trzy grzędy, które nam oddał do użytku, i zasiać jarzyny. Owoce paru drzew figowych, rosnących na naszych grzędach, ofiarował też dla nas, a także oddał nam małą drwalnię murowaną obok willi.

Za pierwszą bytnością w Nicei wstąpiłem do składu ogrodniczego C. Bonet'a, przy nlicy Masseny, gdzie otrzymałem cennik, i zakupiłem kilkanaście porcyj nasion: różnych gatunków sałaty głowiastej i fryzowanej, rzodkiewek czerwonych i białych, selerów, cebuli, pietruszki, marchwi i buraków ćwikłowych. Gos-

podarz pożyczył mi narzędzi do uprawy grządek, które zaraz skopałem, pograbiłem i zasiałem wszystkie nasiona, przy pomocy Ma, bardzo starannie. Przy częstem podlewaniu mieliśmy wkrótce młodą rzodkiewkę, pyszne sałaty młode i inne jarzyny do naszych obiadów. Gospodarz prócz tego dostarczał nam niedrogo wielkie kalafjory, soczyste pomidory i karczochy wmiarę potrzeby.

W butelki litrowe zakupiłem świeżej oliwy nicejskiej, octu i wina krajowego bardzo tanio. Włoszka, załatwiając w Villafrance sprawunki dla siebie, przynosiła nam co dzień w koszyku świeże pieczywo, wyborne mięso naprzemian: polędwicę, sznycle cielęce, kotlety wieprzowe albo baranie. Mleczarka świeże masło, jaja, sery, śmietanę i dwa litry mleka, którego część zostawiało się na zsiadłe. Ryby i rybki morskie, homary, krewetki i ostrygi świeże kupowaliśmy na targu od rybaków wracając z przechadzki przedobiedniej. Włoszka oprawiała i skrobała ryby bardzo zręcznie.

Do naszej kuchenki rusztowej, z dwoma paleniskami pod kapą kominową, zakupiłem zapas węgla drzewnego złożonego obok w dużej pace. Na śniadanie pijaliśmy mleko świeże lub kawę ze śmietanką. Na obiad na rozżarzonym węglu, na talerzach emaljowanych biało, robiliśmy sobie na prędce na świeżej oliwie nicejskiej bifstek angielski z polędwicy, albo sznycle cielęce po wiedeńsku, kotlety wieprzowe, ryby morskie lub świeże homary z sałatą, octem i oliwą nazimno, mizerję z ogórków ze śmietaną i t. p. Żadnych rosołów, krupników ani zup pospolitych nie jadaliśmy wcale jako niepożywnych. Na wieczerzę tylko czasem żurek polski z ziemniakami, barszcz burakowy, albo mleko zsiadłe, niekiedy herbatę dla rozmaitości z cytryną lub pomarańczami. Na deser po obiedzie kompoty lub konfitury własnej roboty Ma; wreszcie przeróżne owoce, morele miękkie i aromatyczne, wielkie brzoskwinie bardzo soczyste, niespliki dojrzałe słodkie, czereśnie, truskawki duże czerwone i białe, maliny ogrodowe, arbuzy i melony z zapachem nadzwyczajnym, świeże figi czarne i zielone, winogrona i pomarańcze prosto z drzewa.

U sąsiadki naszej włoszki na parterze chowała się ładna kocica gospodarza, zwana „Mouche“ (Muszka) ciemno-żółta w czarne pręgi żebrowe jak tygrys, spodem biała. Napół dzika nie chciała do nas przychodzić wcale. Pomału jednak przynęciła się na mleko, które stawialiśmy na spodku przy naszych drzwiach. Gdy nas nie widziała podchodziła ostrożnie i wypijała mleko. Potem rzucaliśmy jej kawałki mięsa, po które podchodziła zwolna. Wreszcie oswoiła się i przyzwyczaiła jeść z ręki. W marcu w karnawał koci przychodził do niej cały szereg kotów, które nie gryzły się wcale, tylko stawały jeden za drugim. Przodował im wielki biały kot angorski państwa Jeannelów, naszych dawnych gospodarzy z sąsiedztwa. Za nim dopiero coraz mniejsze koczury łaziły wszędzie za Muszką, gdzie tylko się ruszyła — po dasz-

kach murów ogrodowych. po gałęziach wielkich drzew, lub między krzakami. Gdy który kot chciał się do niej zbyt zbliżyć to inne miaukały groźnie i biły go łapami. Po kilku dniach tych konkurów koty mniej wytrwałe odchodziły szukać szczęścia gdzieindziej. Zostawały na placu najwytrwalsze w swych zalotach, jako zwycięzcy, według prawa doboru płciowego.

Jako pendant do naszej kocicy przyniesiono nam jednego dnia w prezencie małe szczenie już odessane — suczkę czarną, którą nazwaliśmy Filutą. Przyniósł ją posługacz z pobliskiej restauracji pana Sicarda, przy szosie na przedmieściu Villafranki. Filutka, cała czarna, miała tylko końce łapek i ogonka białe. Przywiązała się do nas bardzo, towarzyszyła nam wzzędzie, do miasta i na dalsze przechadzki. Ma zrobiła jej wygodną poduszkę z siana, ułożoną w kącie przy drzwiach wchodowych do spania. Żywiła dostatnio rano, w południe i wieczór, Gdy siedząc razem mieliśmy Filutę wpośrodku — udawałem że biję Ma, wtedy psina rzucała się na mnie szczekając zajadle, chwytała mię za rękaw zębami, i nie pozwalała bić swojej ukochanej pani.

W dalszym ciągu zabaw karnawałowych 1884 roku według programu urzędowego w półpościu 11 i 12 marca po południu odbyło się w Nicei wielkie korso galowe i druga bitwa kwiatowa z rozdaniem flag konkursowych. Wieczorem reduty i bale maskowe w salonach „Casino municypalnego“ i w ogrodzie zimowym tegoż, wreszcie koncerty orkiestrowe w ogrodzie nadmorskim i na placach publicznych.

Z Villafranki do Nicei, jak zawsze, przez cały rok kursowały codziennie co parę godzin omnibusy konne, stanowiące wygodną komunikację w razie potrzeby. Wybrałem się tam z Ma i teraz dla posłuchania dobrej muzyki koncertowej w ogrodzie nadmorskim i przyjrzenia się zabawom kwiatowym bardzo ożywionym, przy udziale piękności z obu półkul globu.

W chwilach wolnych wieczorami podlewałem nasze jarzyny na grzędach, które dostarczały nam głównie młodej rzodkiewki i świeżej sałaty różnego rodzaju głowiastej, prostolistnej i fryzowanej, do octu i świeżej oliwy nicejskiej.

Uporządkowałem też naszą drwalnię murowaną w pobliżu domu, naprzeciwko drzwi wchodowych obok terasu głównego. Wyrzuciłem z niej trochę trzasek i kawałków drzewa wilgotnego, aby przeschły na słońcu na rozpałkę do kuchni, i wymiotłem śmieci. W sieni pod ścianami napotkałem dużo stonogów mirjapodów i małych skorpjonów (Scorpio europaeus) czarnych, które zadeptałem. Gospodarz domu mówił mi, że ich ukłucia nie są niebezpieczne, Skorpjony egipskie (Buthus occitanus) duże zielonawe, jakie mi pokazywano pod kamieniami przy Piramidach w Gizeh, są daleko bardziej jadowite i niebezpieczne.

Jednego dnia dwie córeczki naszej mleczarki, które idąc do szkoły rano przyniosły nam mleko, wpadły do nas przestra-

szone, wołając że na ścieżce za naszym ogrodem napotkały dużą żmiję. Na ich widok żmija ukryła się między kamieniami.

Nasz gospodarz p. Stagnetto, zajęty ciągle swoją winiarnią i restauracją w mieście, miał mało czasu do pielęgnowania ogrodu. Zachęcałem go, aby więcej dbał o swoją piękną posiadłość, to mu będzie większy dochód przynosić. Jego matka staruszka jeszcze żwawa i miła, przychodziła często podlewać jarzyny i kwiaty, lecz narzekała, że w naszej cysternie domowej jest na to zamało wody. Wobec tego gospodarz wziął się energicznie do zbudowania drugiej wielkiej cysterny w górnej części ogrodu w kącie murów granicznych, od strony drogi wiodącej z dolinki sąsiedniej, z której po każdej burzy i ulewie płynęła rowem wielka obfitość wody tuż koło muru.

Przedewszystkiem należało przygotować teren pod fundamenty i zrobić wielkie zagłębienie w gruncie skalistym. W tym celu gospodarz przez kilka dni wysadzał dynamitem skały, których odłamy służyły następnie do podmurowania. Po tych przygotowaniach sprowadził murarza z pomocnikiem, i w kilka dni wzniesiono grube wysokie ściany, wycementowane wewnątrz gładko i nieprzepuszczalnie. Wielki kran mosiężny z gęstem sitem, wmurowany u dna cysterny, służył do wypustu wody do małego zbiornika murowanego dla nabierania wody w naczynia ogrodowe. Po pierwszych burzach i ulewach wiosennych cysterna wypełniła się wodą przez otwory górne, zaopatrzone w blachy dziurkowane, wstrzymujące zwir i piasek. Wody było dostatkiem dla zraszania ogrodu i gospodarz bardzo był zadowolony z tego ulepszenia. Obfite polewanie grzęd było coraz konieczniejsze, albowiem w kwietniu ciepłota znacznie się podnosi na całej Riwjerze. W styczniu niekiedy mrozik dochodzi tam do — 1° niżej zera, a ciepło zwykle panuje około + 12° C. Natomiast w maju zaczyna się gorąco, a roślinność dochodzi do pełni rozwoju w całym przepychu rozkwitu.

Z nastaniem dni suchych i ciepłych wiosny robiliśmy z Ma codzień po południu wycieczki w najbliższe okolice Villafranki.

Najprzód piękną szosą nadmorską wiodącą do Nicei utrzymaną w czystości wzorowej, przez południowe zbocza góry Boron (Mont Boron). Owa góra stanowiąca ostatnie odnoże Alp nadmorskich, oddziela wielką zatokę Villafranki od Zatoki anielskiej, nad którą rozpościera się szeroko Nicea. Skały wapienia dewońskiego na południowym stoku tej góry opadają stromo w przepaść morską, i najeżone są ostremi przylądkami, na których forty uzbrojone w wielkie działa ciężkie osłaniają dostęp do portu Villafranki.

Po obu stronach szosy tu i owdzie wznoszą się piękne wille, jak: Villa Bleu (nasze dawne mieszkanie), wyniosła Villa Bianchieri na stromych terasach skalnych i inne. Dominuje wśród nich wspaniały pałac księcia Oldenburskiego, z parkiem ciągnącym się pod górę, po prawej stronie szosy idąc ku Nicei. Wra-

cając z przechadzki, usłyszeliśmy przy bramie owego pałacu rozmowę polską pomiędzy młodym człowiekiem a piękną panienką. Zapytałem ich po polsku czyj to pałac? objaśnili nas, że jest własnością księcia Piotra Oldenburskiego, który mieszka na wyspie Maderze w swoim pałacu wpobliżu Funczal (Funchal) stolicy owej wyspy, jako chory na suchoty. Młodzieniec spotkany przez nas wysmukły jasny blondyn, Artur Bruggemm, był synem ogrodnika księcia, a panienka imieniem Luiza córką. Przedstawiwszy się, poprosiłem o pozwolenie zwiedzenia parku i pałacu. Oprowadzono nas chętnie wokoło pośród wspaniałych klombów palm i wielobarwnych kwietników roślin egzotycznych. Na parterze pałacu, od strony południowej przeszliśmy przez długą galerję oszkloną, obejmującą bujne banany z owocem dojrzałym wybornym.

Zapytałem Artura skąd się tu wzięli. Opowiedział, że jego ojciec z pochodzenia holender, rodem poznańczyk, był pod Kaliszem ogrodnikiem w dobrach ruskiego generała, który w Warszawie polecił go księciu Oldenburskiemu, jako fachowca doskonałego. Wkrótce potem, po zawarciu umowy wyjechali z całą rodziną z księciem do Nicei, gdzie zarządzają ogrodem, pałacem i parkiem. Po wyjeździe księcia na wyspę Maderę, jego kasjer, w przejeździe z Rosji, wstępuje do Nicei dla wypłaty pensji ogrodnikowi i kucharzowi miejscowemu. W oczekiwaniu tej wypłaty ojciec Artura z rodziną żyje głównie ogrodowizną i owocami, których część sprzedaje dla zdania rachunku kasjerowi. Kucharz rosjanin trzyma sobie dwie krowy i mnóstwo drobiu różnego, którego część sprzedaje, a resztę spożywa. I tak żyją jak mogą...

Po obejrzeniu przez nas pałacu i parku p. Artur ofiarował uprzejmie Ma piękny bukiet prześlicznych storczyków, a mnie fotografję księcia Piotra (którą zachowałem w moich albumach podróżnych). Prosiłem p. Artura, aby nas odprowadził do domu, by zobaczyć gdzie mieszkamy i odwiedzić czasem ze swoją siostrzyczką. Obiecali nam, i zaraz nazajutrz przyszli po południu z koszem przepysznych owoców. Po kawie i deserze owocowym, poszliśmy z Ma i naszemi gośćmi do portu Villafranki czyli tak zwanej Darse albo Darseny, między starą cytadelą a koszarami wojskowemi.

Przy długiem wybrzeżu ciosowem, osłoniętem od zatoki wielką tamą kamienną z latarnią morską, stał na kotwicy cały szereg łodzi, szalup prywatnych i stary parowiec angielski, z którego wynoszono do koszar węgiel kamienny z Cardifu.

W jednej szalupie dość lichej i zaniedbanej, uwiązanej do kółka żelaznego przy wybrzeżu, siedział jej właściciel i coś starannie naprawiał. Zapytałem: czyby mi nie sprzedał swej szalupy? Zgodził się chętnie, po krótkim targu oddał mi ją za 20 franków t. j. za luidora czyli 8 rubli w złocie, i odrazu zcedował mi swoje świadectwo własności, jako kapitan statku.

Artur był uszczęśliwiony tym moim nabytkiem; był bowiem zapalonym wioślarzem, i marzył o wstąpieniu do marynarki. Odtąd przychodził do mnie często ze swoją siostrą, którą Ma polubiła bardzo jako towarzyszkę miłą i inteligentną.

Przedewszystkiem popłynęliśmy na mojej szalupie wgłąb zatoki Villafranki, nad szeroką plażę kąpielową, usianą żwirem kamiennym. Tam wyciągnęliśmy statek na ląd, i ustawiliśmy dogóry dnem. Po dokładnem obejrzeniu, okazało się że boki i dno kilowe są całe i mocne. Metrem składanym wziąłem miarę długości kilu od nosa do rufy. Poszliśmy zaraz do małej kuźni wpobliżu mego mieszkania. Kowal, francuz bardzo uprzejmy, zrobił sztabę żelazną długą według miary, cal szeroką, i poszedł ze mną przymocować ją śrubkami miedzianemi do dna szalupy. Po jej zupełnem wyschnięciu na słońcu, kupiłem w składzie marynarskim gudronu i butlę farby olejnej ochry jasnobrunatnej dla pomalowania ławeczek i masztu. Na wybrzeżu między dużemi kamieniami rozpaliliśmy z suchych drewek ogień, przy którym roztopiłem gudron. Grubym pędzlem, pożyczonym w składzie, pomalowaliśmy z Arturem całą szalupę najprzód zewnątrz. Po zupełnem wyschnięciu, w kilka dni potem przewróciliśmy statek dnem do ziemi i pomalowaliśmy starannie gudronem wewnątrz. Tąkoż i ster drewniany, który obracał się gładko na dwóch zawiasach żelaznych. Po wyrównaniu brzegu jednej ławeczki listewką drewnianą, pomalowaliśmy farbą olejną na kolor ciemnego dębu cztery ławki i maszt Artur dorobił u siebie w ogrodzie reję skośną, drążek do flagi i cztery mocne wiosła. Kupiłem jeszcze płótno żaglowe, bloczek, sznur, oraz perkal na flagę trójkolorową biało-niebiesko-czerwoną. Ma podług miary przycięła i obrąbiła żagiel trójkątny, oraz flagę, i wyszyła na nich taśmą czarną moje cyfry S. C. ze złotą koroną haftem. Kowalowi kazałem zrobić lekką kotwicę trójzębną, kupiłem do niej linkę oraz łańcuszek do wiązania szalupy przy wybrzeżu za kółko żelazne na kłódkę.

Gdy już wszystko było gotowe, Artur umocował reję u dołu masztu, bloczek u góry, przeciągnął sznur i rozpiął żagiel; uwiązał kotwicę na szpicu za kółeczko żelazne, założył dwa wiosła za kołki — i zepchnęliśmy statek na wodę. Ja usiadłem u steru i kierowałem żaglem, Artur dwoma wiosłami tęgo machał. Próbna jazda do portu Darseny Villafranki wypadła doskonale. Zarzuciłem kotwicę i umocowałem sztywno moją szalupę na wybrzeżu do kółka żelaznego na kłódkę.

Nazajutrz, na moje zaprosiny, przyszedł Artur ze swoją siostrą Luizą. Po kakao gorącem z ciastem, poszliśmy wszyscy do portu. Artur założył żagiel. Ma usiadła u steru, Luiza na ławeczce tylnej dla kierowania żaglem. Artur przy przedniej założył dla siebie dwa wiosła. Ja na przodzie podniosłem kotwicę, odepchnąłem szalupę drążkiem okutym z hakiem, i wydałem komendę: naprzód! Przy pięknej pogodzie słonecznej wyjecha-

liśmy z portu Villafranki na pełne morze. Opłynąwszy wokoło zdaleka skaliste przylądki Mont-Boron, wjechaliśmy do pobliskiego portu Nicei. Po zarzuceniu kotwicy u wybrzeża, umocowałem szalupę na łańcuszku na kłódkę, i poszliśmy wszyscy do Prefektury portu. Tam zameldowałem o kupnie mojej szalupy, oddałem zcedowane mi świadectwo poprzedniego właściciela, a po wniesieniu opłaty otrzymałem nowe na moje imię jako kapitan szalupy morskiej zwanej „Mewa". Potem poszliśmy na Promenadę angielską do restauracji „Pod złotym krabem" na chrzciny mojego statku. Śniadanie drugie złożone z ostryg świeżych z ostrygarni przybrzeżnej właściciela restauracji, z homara z sałatą młodą, oliwą nicejską i octem winnym, wreszcie z macedoanu z owoców mieszanych z sokiem truskawkowym — zakropiliśmy szampanem. Po deserze i czarnej kawie, wróciliśmy niebawem do portu, i przed wieczorem przybyliśmy szczęśliwie do przystani Villafranki.

Artura i Luizę zaprosiliśmy do nas na obiad. Wieczorem po herbacie o chłodzie odprowadziliśmy ich do pałacu, a sami wróciliśmy omnibusem konnym do naszej willi. Odtąd Artur bywał często u mnie. Zwykle po śniadaniu jeździliśmy moją szalupą na połów ryb w zatoce Villafranki. Kupiłem w tym celu dwie wędki morskie, z pływakami z korka i sznurami 100 metrów długości, z ołowiankami i haczykami na potrójnem włósiu. W księgarni nabyłem treściwy francuski Przewodnik rybacki. Zakładałem też często tak zwany palanger t. j. długi sznur, umocowany jednym końcem przy brzegu płytkim pod wodą na kołku mocno wbitym, z drugim końcem pogrążonym z kamieniem podługowatym w głębinie. U sznurka owego co pół metra przywiązanych było na mocnych włósiach kilkadziesiąt haczyków z małemi krewetkami (zbieranemi w szczelinach skał przybrzeżnych). Po kilku godzinach, po wyciągnięciu palangra z wody, zdejmowałem zeń po kilkanaście różnych rybek do koneweczki. Ma przyrządzała je bardzo smacznie na różny sposób: gotowane lub smażone na maśle, w śmietanie z pomidorami, sałatą, oliwą i octem, z chrzanem i jajkami, z kompotem owocowym na zimno lub na gorąco i t. p.

Idąc szosą nadmorską dalej za pałac księcia Oldenburskiego, dochodzi się do tak zwanego Zamku Smitha, którego założyciel odebrał sobie życie rzucając się ze stromej skały w głębię morską u stóp swej wspaniałej posiadłości. Później zamek ten nabył hrabia Wczele-Walewski. Naprzeciw owego zamku odgałęzia się od szosy głównej drożyna tak zwana droga leśna góry Boron (route forestière de Mont-Boron) zataczająca półkole od strony południowo-wschodniej około wierzchołka owej góry, i ciągnąca się dalej równolegle do szosy aż do szczytu zwanego Mont-Alban. Na nim wznosi się stara twierdza murowana z koszarami Fort-Alban, z esplanadą pustą wokoło. Owa droga leśna dochodzi do starej drogi z Nicei do Villafranki, łą-

czącej te dwa miasta przez północny stok góry Boron, ponad wielkim tunelem kolei żelaznej.

Ta droga leśna stanowi jędnę z najpiękniejszych przechadzek w całej okolicy. Młody las sosen alpejskich i mnóstwo ziół górskich napełnia tam przeczyste powietrze morskie aromatem orzeźwiającym. Ze szczytu Mont-Alban roztacza się wspaniały widok ku zachodowi na rozległą panoramę Nicei z jej przedmieściami i górami — na wschód na wielką zatokę morską Villafranki, długi przylądek Ferrat i jego olbrzymią białą latarnię morską. To też chodziliśmy tam z Ma często na całe popołudnie, zabierając pakiet z podwieczorkiem. Pusto tam bywało zwykle. Czasem tylko spotykaliśmy młode miss angielskie, szkicujące w swoich albumach widoczki pamiątkowe. Nasza suczka Filutka hasała wesoło naszczekując, lub spoczywała z nami na mchu leśnym wpośród ziół pachnących.

Krótszą nieco przechadzkę stanowiła tak zwana stara droga do Nicei, ciągnąca się koło ponurej samotnej willi „La Solitude" wiecznie zamkniętej, gdzie nigdy nie było widać żywej duszy. Tam, zwykle po wieczerzy, szliśmy z Ma, aż do starej figury kamiennej, odpocząć dłużej. Tam w dolinie rozległej roztaczały się bujne ogrody przedmieści Nicei. O zmroku zapalały się długie szeregi latarń gazowych, błyskały kolejno światełka niezliczone. Filutka siedząc przy nas wpatrywała się we wszystko pilnie obserwując, wsłuchiwała się w odgłosy pieśni zawadjackich, dochodzących tam z oberż i winiarni pobliskich, lub w melancholijne tony pianin włoskich. Z nastaniem zmroku na szafirowem niebie jaśniały blaskiem coraz silniejszym gromady gwiazd. I nieraz późną nocą wśród ciszy głębokiej wracaliśmy powoli do domu.

Z oddali słychać było o godzinie 9-ej dźwięki ślicznego rondu, granego przez trębaczy wojskowych, w pochodzie przez ulice starej Villafranki.

Przechadzki nasze po drugiej stronie wielkiej zatoki Villafranki, ku wschodowi, były niemniej urozmaicone. Główna szosa nicejska okalająca ową zatokę od północy, prowadzi dalej koło dworca kolei żelaznej do Beaulieu i na długi przylądek Ferrat, z olbrzymią latarnią morską na cyplu.

Do Beaulieu można też dojeżdżać koleją w kilkanaście minut. Tam wśród przepysznego ogrodu krył się tajemniczo w cieniu palm szerokolistnych (latania burbonica) i cedrów libańskich, pałacyk starego króla belgijskiego Leopolda, już ociemniałego.

W sąsiedztwie na małem wzgórzu, wpośród kwietników barwnych, jaśniała biała willa mera Villafranki, pana Polonais. Gospodarz mój p. Stagnetto, objaśnił mię raz, że nasz mer polak rodem, bardzo bogaty, osiadł tam już dawno i sfrancuział zupełnie. W piękny dzień słoneczny po południu wybrałem się

odwiedzić p. Polonais. Przy wielkiej bramie żelaznej jego willi nacisnąłem guzik dzwonka elektrycznego. Stary kamerdyner, wziąwszy mój bilet wizytowy, wprowadził mię przez werandę frontową do wielkiego salonu, umeblowanego wytwornie, i zaraz mię zaanonsował. Wkrótce z bocznego gabinetu wyszedł p. Polonais, człowiek w średnim wieku o miłem obliczu, pełnem energji w spojrzeniu, i powitał mię uprzejmie.

Przysunął mi wygodny fotel, i zasiadłszy sam zapytał — jak dawno już mieszkam w jego małem królestwie i jak długo zamierzam pozostać. Objaśniłem, że bawię już parę miesięcy, a pragnę przebyć czas dłuższy w tym uroczym zakątku.

Przez wielkie okno salonu szeroko roztwarte, w głębi bujnej alei, pomiędzy grupą cyprysów a platanów, ujrzałem na widnokręgu jasną plamę szafirową i uśmiechnąłem się wesoło.

— Widzi pan, rzekł gospodarz, to mój kawalek morza, prawda jaki piękny? Pan kocha morze? zapytał.

— O tak, panie merze, mianowicie to urocze Morze śródziemne, kolebkę wielkiej cywilizacji.

— Czy pan je poznał bliżej?

— Tak jest, byłem niedawno na Wschodzie, poznałem Bosfor, Archipelag grecki, deltę Nilu, zatokę Neapolu — a teraz to rajskie wybrzeże Francji południowej, którem jestem prawdziwie zachwycony...

— Cieszy mię to, i życzę panu tutaj jak najmilszych wrażeń.

Żegnając mię p. Polonais odprowadził mię uprzejmie aż do samej bramy, i ofiarował mi parę ślicznych róż do butonierki.

Od Beaulieu odnoga szosy głównej prowadzi wzdłuż przylądka Ferrat, wpośród starych gajów oliwnych tysiącoletnich, między urocze wille małe i duże, otoczone kwietnikami, sadami pomarańcz, róż i heljotropów wonnych — do małej wioski nadmorskiej Saint Jean, z szeregiem czółen rybackich przy brzegu.

A dalej, wpośród gęstych zarośli zielonych mirtów, okrytych śnieżno-białym kwiatem, szło się do stóp skał, na których wznosiła się kolosalna latarnia morska.

O złomy tych skał na cyplu bryzgały pianą białą szerokie fale walące wprost z pełnego morza. Ustępując nazad pozostawiały na piasku nadbrzeżnym stosy muszelek różnobarwnych. Ma zbierała je pełnemi garściami do wyklejania pudełek i nizania naszyjników. Nasza suczka Filutka uwijała się wszędzie, węsząc w szczelinach skał małe kraby i gwiazdy morskie.

Wielka zatoka Villafranki, zwykle spokojna i cicha, ożywiła się w początku kwietnia przybyciem eskadry amerykańskiej Stanów zjednoczonych, odbywającej podróż ewolucyjną naokoło świata. Kilkanaście pancerników i krążowników wojennych stanęło tu rzędem na kotwicy pod flagą gwieździstą, wydzwaniając rozgłośnie godziny służbowe. Zaraz też rozpoczął się ożywiony ruch łodzi rybackich i przewoźniczych, dostarczających świeże

wiktuały, nabiał, jarzyny i owoce dla gości amerykańskich. Młode piękne fioraje, z koszami pełnemi wonnego kwiecia, zarabiały grubo na swoim towarze.

Wkrótce ogłoszono też godziny wolnego wstępu dla publiczności na pancerniki. W piękną ciepłą niedzielę popołudniu nadszedł do nas Artur B. ze swoją siostrą Luizą. Zaprosiłem też do naszego towarzystwa panią Stagnettową, naszą gospodynię, która przyszła do swego ogrodu po świeże owoce. Po czarnej kawie i deserze owocowym, panie z wiązankami kwiatów, ja z Arturem z wiosłami na ramionach, wyruszyliśmy do przystani morskiej. Naszą szalapą „Mewą“ w cztery wiosła, po rozkołysanej wysoko fali, podpłynęliśmy do schodów głównego pancernika admiralskiego. Młody marynarz dyżurny oprowadzał nas po całym pokładzie i pomostach górnych; udzielał objaśnień szczegółowych o różnych rodzajach olbrzymich dział ciężkich i smukłych kartaczownic, o sposobach ich nabijania, celowania i użycia przeciw torpedowcom i t. p. Przechodząc około pomostu kapitańskiego natknęliśmy się na starego marynarza, leżącego na pokładzie nawznak, z rękami i nogami w obrączkach żelaznych, przytwierdzonych do desek. Przewodnik nasz objaśnił, że jestto bardzo surowa kara za niesubordynację. Marynarze wolą stokroć raczej zamknięcie w areszcie o chlebie i wodzie, niż tę torturę nieznośną bezruchu przymusowego, przykrą tem bardziej, że koledzy przechodząc nieraz bezlitośnie drwią i naśmiewają się z tych ofiar dyscypliny morskiej. A surowość ta jest niezbędna. Załogi bowiem floty amerykańskiej rekrutują się często przygodnie z ochotników całego świata w portach odwiedzanych. Przyjmowani są do służby niekiedy nawet najwięksi zbrodniarze, uchodzący przed ciężkiemi karami, pod warunkiem, że im niewolno opuszczać wcale pokładu i wysiadać nigdzie na ląd.

W połowie kwietnia, wśród pełnego rozkwitu wiosny nastały ciepłe dni słoneczne jak zwykle na Riwjerze, a na zakończenie sezonu karnawałowego rozpoczęły się wielkie uroczystości wyścigów morskich w Nicei, czyli tak zwane regaty międzynarodowe, trwające trzy dni, 15, 16 i 17 kwietnia.

Z powodu pobytu podówczas królowej angielskiej Wiktorji, zajmującej wspaniałą willę w dzielnicy Cimiez — prezydentem honorowym regat nicejskich był wtedy Książe Walji, następca tronu Wielkiej Brytanji, a zarazem prezes głównego towarzystwa wyścigów morskich w Anglji t. zw „Yacht Racing Association“.

Regaty nicejskie międzynarodowe, podobnie jak w innych portach francuskich, odbywały się pod patronatem „Yacht-Klubu Francji“ ze współudziałem urzędowym eskadry śródziemnomorskiej Francji i Anglji, oraz gościnnym udziałem eskadry amerykańzkiej Stanów Zjednoczonych i ruskiej, która miała wkrótce nadpłynąć.

Ogromne zamiłowanie i żywy współudział całej ludności, a mianowicie młodzieży w sporcie wioślarsko-żeglarskim, stanowi

bardzo ważny czynnik rozwoju flot handlowych i wojennych oraz potęgi morskiej Wielkiej Brytanji i Francji, ich bogactwa, ekspansji kolońjalnej i wpływów cywilizacyjnych na całym globie.

To też i w Nicei, tem środowisku międzynarodowem eleganckiego świata sportowego, zainteresowanie wyścigami morskiemi było żywiołowe.

Komitet honorowy regat międzynarodowych w Nicei w roku 1884 składali: Książe panujący Monaco, admirał minister marynarki francuskiej, adm. prezes Yacht-Klubu Francji, adm. prefekt morski okręgu 5-go, adm. głównodowodzący eskadry ewolucyjnej francuskiej, adm. komendant eskadry amerykańskiej, adm. kom. eskadry ruskiej, generał komendant 19-ej dywizji armji, prefekt departamentu Alp nadmorskich, mer miasta Nicei, prezes rady morskiej Yacht-Klubu Francji i prezes nicejskiego Klubu Morza śródziemnego.

Komitet wykonawczy regat tamecznych 1884 roku składali p. p.: prezes hrabia de Cessole, wiceprezes Wiktor Béchard, sekretarz Andriot Saétone i skarbnik Adolf Sicard.

Zawczasu też udałem się do biura Komitetu, gdzie po przedstawieniu listu rekomendacyjnego Redakcji „Gazety handlowej“, otrzymałem medal dziennikarski wolnego wstępu do trybun nadbrzeżnych i na cały obszar wyścigowy, oraz programy drukowane i plany litografowane regat.

Główne nagrody stanowiły:

Wielka nagroda miasta Nicei dla I-ej wielkiej serji jachtów od 30 ton i wyżej.

Nagroda Yacht Klubu Francji dla II-ej serji mniejszej jachtów od 15 do 30 ton.

Nagroda Zatoki anielskiej (nicejskiej) dla jachtów od 5 do 15 ton.

Nagroda Alp nadmorskich dla jachtów od 2 do 5 ton.

Nagroda Riviery dla jachtów poniżej 2 ton.

Wreszcie pomniejsze nagrody pieniężne dla szalup wojennych i szalup rybackich uzbrojonych.

Trybuny dla publicznośct ustawiono na wybrzeżu Promenady angielskiej około ujścia rzeczki Paillon do morza. Statek sędziów naprzeciw ogrodu miejskiego przy pomoście żelaznym. Statek ten stanowił wierzchołek dwóch wyścigowych trójkątów rozwartych, których kąty ostre prawe i lewe oznaczone były wielkiemi pływakami stałemi, opatrzonemi we flagi widoczne zdaleka na powierzckni morza. Trójkąt mały dla statków pomniejszych rozciągał się od portu Nicei do ujścia rzeczki Magnan; trójkąt wielki od latarni przylądka Ferrat do zachodniego brzegu zatoki nicejskiej.

Trzeciego dnia regat, 17 kwietnia 1884 r., pogodnym rankiem wybraliśmy się razem z Ma, Arturem i jego siostrą Luizą — w naszej szalupie „Mewie“ na uroczystość rozdania nagród zwycięzcom regat w Nicei. W porcie nicejskim stał na kotwicy

świetny jacht korespondenta „New-York Heralda“, cały biały, błyszczący w słońcu okuciami mosiężnemi; nieco mniejszy od znanego jachtu „Hohenzollern“ cesarza Niemiec Wilhelma II go (Wilusia) ale lżejszy i wysmuklejszy. Po wjeździe naszej „Mewy“ do portu Nicei jacht „New-York Heralda“ wyjeżdżał właśnie w dalszą drogę, żegnany przez nicejczyków gromkiemi okrzykami, na które marynarze amerykańscy, stojąc rzędem na pokładzie jachtu, odpowiadali tzzykrotnem: hurra! hurra! hurrah! wyrzucając wgórę czapki i chwytając je zręcznie.

Po obiedzie i wysłuchaniu świetnego koncertu w ogrodzie miejskim, wróciliśmy znów naszą szalupą do Villafranki.

Szczegółowe sprawozdania o przebiegu regat międzynarodowych w Nicei, z każdego z trzech dni 15, 16 i 17 kwietnia, podawały dzienniki tameczne „Le Petit Niçois“, „L'Eclaireur du Littoral“ i wiele innych. Przez cały czas regat panowała piękna pogoda słoneczna i ciepło dochodzące w południe do 17° centigrada.

Po zabawach i szale sezonu karnawałowego, z nastaniem gorących dni wiosennych, cudzoziemcy zaczęli rozjeżdżać się na wszystkie strony świata. Eskadry pancerne francuska, amerykańska i rosyjska opuściły też zatokę Villafranki. Spokój nastał i cisza. Wiosna z całym przepychem roślinności bujnej zapanowała na słonecznem wybrzeżu nicejskiem.

W Villafrance wiktuały codzienne nie były tańsze niż w Nicei, gdzie znaleźć je można było w nierównie lepszym gatunku i doborze. Na nicejskich targach kwiatów, owoców, jarzyn i ryb morskich imponowało wszędzie wielkie bogactwo produkcji miejscowej, panował tam ruch bardzo ożywiony mianowicie z rana i przed południem. Wytworne składy spożywcze sprzedawały po cenach umiarkowanych: wyborne masło medjolańskie, kawę arabską w ziarnie Yemen oryginalną, wędliny i figi neapolitańskie najdelikatniejsze, cytryny mesyńskie, cukier trzcinowy kanaryjski, wyborowe rodzenki Malaga i Smirna bez pestek, sery alpejskie, oliwę prowancką Viérge, tanie wina stołowe francuskie, włoskie i t. p. Często też chodziłem po te sprawunki, zwykle krótszą starą drogą nicejską przez Mont-Boron od strony północnej, ciągnącą się pośród rozkosznych sadów i ogrodów kwiatowych.

Dla wypoczynku po przechadzce wstępowałem najprzód do Czytelni gazet bezpłatnej w Merostwie lub do Bibljoteki publicznej miejskiej, w której jednak obok znacznego zasobu dzieł dawnych brak było nowości najświeższych. Obfitowała w nie natomiast wielka księgarnia Viscontiego (przy ulicy Du Cours nr. 2 w śródmieściu) z salonem czytelni doborowej, z mnóstwem dzienników politycznych, czasopism literackich europejskich i amerykańskich. Tam przy moim stoliku, w osobnym gabinecie z oknami otwartemi na wirydarz słoneczny — dzięki uprzejmości szefa księgarni, jako dawny wydawca, redaktor i korespon-

dent gazet polskich, korzystałem bezpłatnie z jego bogatej czytelni Przeglądałem najświeższe dzienniki, tygodniki, miesięczniki — i robiłem potrzebne zapiski. Artykuły moje przesyłałem do Warszawy, do redakcyj „Wędrowca", „Prawdy", „Przeglądu tygodniowego" i „Gazety handlowej". Dla tych żywotnych czasopism prace obszerniejsze były nieodpowiednie; żądano artykułów treściwych, w sprawach aktualnych.

Czcigodny redaktor „Prawdy" Aleksander Świętochowski między innymi pisał do mnie w liście z dn. 17 kwietnia 1884 r.

„Szanowny Panie Stanisławie! Proszę o artykuły jednociągowe, w kwestjach bieżących, bo tego czytelnicy moi wymagają. List pański zakomunikowałem Drukarni Kowalewskiego. Żądane numery „Prawdy" wysyłam, z serdecznem pozdrowieniem — *A. Świętochowski*".

Korzystając z bogatego asortymentu nowości w księgarni Viscontiego pisywałem przeważnie Przeglądy literatury zagranicznej.

Dla wydania mojej rozprawy, napisanej jeszcze dawniej w Warszawie, p. t. „Cywilizacja i żydzi" oraz moich „Szkiców z wędrówki po Ziemiach słowiańskich", pomieszczanych w swoim czasie jako listy z podróży w dzienniku warszawskim „Nowiny", zebrałem informacje o kosztach papieru i druku.

Przedewszystkiem udałem się do drukarni pod firmą „Imprimerie Niçoise" przy ulicy Descente Crotti nr. 8, jednej z najzasobniejszych w Nicei. Tam podano mi dość umiarkowaną cenę druku jednego arkusza formatu 8-ki średniej w 500-set egzemplarzach około 50 franków (a mianowicie: za składanie fr. 29, papier 10 odbicie 6, koszty ogólne 5 fr.). Przeszkodę jednak do drukowania tam mojej broszury stanowił brak niektórych czcionek właściwych tylko językowi polskiemu jak: ą, ę, ć, ś, ż i t. p.

Wobec tego napisałem do Genewy do czcigodnego nestora pisarzy polskich Zygmunta Miłkowskiego-Jeża, z prośbą o wskazanie mi adresu drukarni tamtejszej celem informacji o cenie papieru i druku polskiego. Wkrótce też dostałem odpowiedź w liście z dn. 10 kwietnia 1884 r. nastepującą:

„Szanowny Panie! Otrzymał Pan już zapewne list od pana Truskowa, tyczący się warunków druku broszury. P. Trusków, mimo że nazwisko jego brzmi po rosyjsku, jest polakiem, przytem człowiekiem bardzo uczciwym. Miło mi, że mi się udało wyświadczyć Panu tę przysługę drobną.

„Zasyłam wyznanie szacunku rzetelnego z jakim dla Pana zostaję — sługa powolny *Z. Miłkowski.*" *)

Jednocześnie też otrzymałem list z „Drukarni Polskiej" w Genewie (przy ulicy Chemin Neuf nr 13) od właściciela pana Truskowa, z dn. 9 kwietnia 1884 r.:

---

*) Listy przytoczone w całości lub części przechowują się w osobnych tekach autografów w mojej Bibljotece.

„Szanowny Panie! Na zapytanie pańskie przez p. Miłkowskiego: co może kosztować arkusz druku złożony garmontem w 500-set egzemplarzach, mam zaszczyt zawiadomić, że na zwykłym papierze arkusz takiego druku będzie kosztowac 60 franków; im lepszy papier tem drożej stosownie do jego wartości. Zostaje gotowym do usług Pana — *A. Trouscoff*.

Trzecią wreszcie ofertę otrzymałem z Krakowa z t. zw. „Drukarni związkowej" pod zarządem A. Szyjewskiego, stosunkowo najtańszą, obliczoną za jeden arkusz formatu 8-ki średniej w 500-set egzemplarzach na 20 florenów austryjackich. Tam też wysłałem 24 kwietnia 1884 r., w pakiecie pocztowym poleconym, rękopis mojej rozprawy. Wkrótce przysłano mi w całości korektę, którą poprawiwszy odesłałem niezwłocznie. W połowie maja otrzymałem pod opaską pocztową 10 egzemplarzy gotowych broszury p. t. „Cywilizacja i żydzi" formatu 8-ki centymetrów 18 × 12½, na dobrym grubym papierze w objętości str. 20. Na wypłatę należności „Drukarni związkowej", ogółem z okładką i broszurowaniem flor. austr. 25 czyli 20 rubli, wysłałem do Banku galicyjskiego przemysłu i handlu w Krakowie 10 kuponów od moich akcyj Warszawskiego Banku handlowego, polecając pozostawić resztę gotówki na dalszy rachunek.

Wkrótce potem wysłałem do Krakowa do tejże „Drukarni związkowej" rękopis moich „Szkiców z podróży po Ziemiach słowiańskich". Po otrzymaniu korekty i poprawieniu omyłek, zwróciłem ją niezwłocznie pod opaską poleconą. Druk i broszurowanie wykonano w końcu czerwca, i przysłano mi 12 egzemplarzy pocztą. Ta druga broszura tegoż samego formatu co poprzednia w 8-ce średniej centymetrów 18 × 12 ½ obejmowała str. 54. Należność 55 florenów austrj. wypłacił na mój rachunek Galicyjski Bank przemysłu i handlu z funduszu pozostałego, a resztę odesłał mi do Nicei przekazem na tameczną filję Crédit Lyonais.

Cały nakład obu broszur: „Cywilizacja i żydzi" oraz „Szkice z podróży" po 500 egzemplarzy, Drukarnia związkowa na moje polecenie oddała w komis krakowskiej księgarni p. p. Gebetnera i Spółki, która zostawiwszy część egzemplarzy na potrzebę miejscową, resztę nakładu przesłała do Warszawy na skład główny księgarni p. p. Gebetnera i Wolfa, dla rozsyłki znaczczniejszym księgarniom polskim krajowym i zagranicznym. Jednocześnie prosiłem p. p. Gebetnera i Wolfa o rozesłanie 10 egzemplarzy pomienionych broszur redakcjom ważniejszych dzienników i czasopism literackich dla sprawozdań. Oprócz ogłoszenia o wyjściu tych broszur w krakowskim „Przewodniku bibljograficznym" dałem o nich anonse w Kurjerze warszawskim, Gazecie polskiej Przeglądzie tygodniowym i in.

W listach pisanych do ojca do Miechowa przesłałem również dwa egzemplarze tych broszur, i wkrótce otrzymałem potwier-

dzenie ich odbioru w karcie pocztowej z dn. 1 szego lipca 1884 r. w słowach:

„Kochany Synu! Twoje listy z dwiema broszurami nowowydanemi w Krakowie otrzymałem. Ostatni też Twój liścik do brata Miecia czytałem. Z kąpiel w Solcu wróciłem niedawno przy dobrem zdrowiu. Atoli wiadomości od Maryni, która ostatecznie postanowiła pozostać w zakonie Nazaretanek, zasmucają nas bardzo. Możesz o tem nadmienić pisząc do niej. Listy Twoje i dobre zdrowie dają nam spokój co do Ciebie, choć milej byłoby mi, gdybym Cię ujrzał z powrotem. Ja mieszkam w domu nabytym niedawno, i zajęty jestem jego odnowa gruntowna. Całuję Cię i ściskam serdecznie jako ojciec kochający E. C."

Listy i gazety przynosił nam codzień bryftreger z Villafranki, młody francuz wesoły i uprzejmy chłopiec. Częstowałem go czasem szklaneczką wina lub owocami. Raz powiadomił nas, że do Villafranki przybył wędrowny teatr marjonetek na parę przedstawień. Ponieważ nie znałem jeszcze tego rodzaju teatru, więc wieczorem poszliśmy z Ma do miasta. Sążniste afisze głosiły wystawienie jakiejś strasznej tragedji. Na wstępie i w antraktach grała orkiestra wojskowa huczne kawałki na trombach. W kilku aktach było dwa morderstwa i jeden pojedynek na szpady, ponury cmentarz z wielkiemi grobowcami, duchy w bieli i czarne niedoperze, sowy latające i t. p. okropności. Za kulisami czytano djalogi. Słowem była to wielka szopka, którą się jednak niewybredna publiczność mieściny bawiła doskonale, i biła brawa huczne. Duża sala teatru była przepełniona, i ludek rozchodził się późną nocą zadowolony ukaraniem zbrodni i zwycięstwem cnoty.

W Nicei w wielkim teatrze miejskim grano stare opery, znane nam oddawna; a w innych teatrzykach dawały przedstawienia dramatyczne i farsy trupy francuskie i włoskie przejezdne.

Raz tylko zaprosiłem dla towarzystwa w powrocie nocą, naszego młodego bryftregera, i poszliśmy na widowisko humorystyczno-kabaretowe t. zw. „Concert du Palmier" w świetnym ogrodzie przy ulicy Du Temple nr. 6 wśródmieściu Nicei. Tam podkasane śpiewaczki i śpiewacy komiczni występowali naprzemian z baletem ekscentrycznym. Wejście było bardzo tanie tylko pół franka, krzesła po 1 franku; natomiast napoje, chłodniki i potrawy bardzo drogie. Przedstawienie zaczynało się tam o godzinie 9, a kończyło o północy, podobnie jak w teatrach tamtejszych, co było rzeczą bardzo niedogodną dla dalej mieszkających.

To też nierównie przyjemniej schodził nam czas na przechadzkach bliższych i dalszych w góry lub nad morze. Z nastaniem gorących dni maja, zaraz po obiedzie wczesnym, szliśmy z Ma do pobliskich lasów, gdzie sosny alpejskie i bujne zioła roznosiły zapach orzeźwiający. Braliśmy na podwieczorek wyborne melony, arbuzy lub inne owoce, oraz dzienniki i tygodniki świeże.

Nasza czarna suczka Filutka biegała wszędzie naszczekując wesoło na ptaki, albo odpoczywała przy nas na mchu puszystym, ziając ze zmęczenia z wywieszonym językiem różowym.

Niekiedy zapuszczaliśmy się dalej za Villafrankę w rozkoszną dolinę strumienia Murty, który dostarczał wody źródlanej do wodociągów miasteczka i pralni publicznych. Kiedyindziej znów szliśmy w inne cieniste wąwozy skalne. Wiosną spotykały nas częste burze ulewne, przed któremi kryliśmy się w schroniskach podskalnych lub domach pobliskich. Latem burz nie było prawie wcale, podobnie jak w całej strefie południowej tamtejszej.

Raz wybrałem się sam na cały dzień na forsowniejszą wycieczkę na szczyt wyniosły góry Paganalji, panującej dumnie nad wielką zatoką morską Villafranki. Z koszturem długim, rewolwerem-buldogiem w kieszeni i suczką Filutką, w upalny dzień majowy szedłem pomału wężowemi ścieżkami przez kręte doliny, wznoszące się coraz wyżej między bujnemi winnicami i pięknemi sadami. W jednej małej fermie zasiadłem dla wypoczynku na ławeczce pod rozłożystą jabłonią i dostałem parę szklanek wybornego mleka chłodnego z chlebem wiejskim. Później znów w parę godzin w przepysznej winnicy poprosiłem o kilo winogron, pod któremi gięły się gałęzie bujnej winorośli rozpięte na tykach. Gospodarz zajęty pilną robotą w podwórzu ładnego domku, prosił abym sobie sam uciął nożykiem parę gron, za które potem nie chciał żadną miarą przyjąć zapłaty, mówiąc że to drobnostka, i że mu miło było poczęstować gościa rzadkiego, bo tu prawie nikt obcy nie zachodzi. Dziekując dałem mu parę świeżych gazet francuskich, z których był bardzo zadowolony. Minąwszy lesiste zbocza górne Paganalji, stanąłem wreszcie na jej szczycie pustym płaskim, porosłym tylko bujną trawą, ziołami i rzadkiemi krzaczkami jałowca. Zgrzany długą wędrówką ległem z rozkoszą na mchu miękkim wśród ciszy głuchej. Wokół otaczał mię wspaniały widok dalszych szczytów Alp od północy — a od południa bezmiar wód morza szafirowy. Czarna suczka Filutka legła też u stóp moich zziajana, spoglądając mi w oczy pytająco — rychło ruszymy z powrotem do domu na kolację? Nadół schodziliśmy lekko szybko i niebawem znaleźliśmy się w naszej cichej willi „Bellevue“. Ma niezwłocznie ustawiła na stoliku w ogrodzie głębokie talerze z wybornem zsiadłem mlekiem ze śmietaną i półmisek ziemniaków prosto z waru. Apetyczną kolację Filutka też zajadała żwawo, aż jej się uszy trzęsły.

W inny dzień pogodny wybrałem się razem z Ma nieco bliżej do San-Michele, małej wioski górskiej, gdzie nasz gospodarz p. Stagnetto miał drugą posiadłość, odziedziczoną po niedawno zmarłym ojcu swoim — mały domek murowany w pięknym sadzie owocowym na skałach stromych nad głęboką przepaścią. Poszliśmy tam zaproszeni razem z matką gospodarza starą panią Stagnetto, drożyną krętą wśród skał. Stary domek

o jednej izbie z kuchenką i sienią, służył za skład narzędzi ogrodowych, drabinek, koszów do owoców i t. p. Na ścianach izby, nad dużym stołem i nad kilku stołkami, wisiały widoczki kolorowe różnych portów morskich, gdyż stary Stagnetto służył niegdyś w marynarce wojennej, i odbywał dalekie podróże. Jedyną mieszkanką i zarazem stróżką owego domu była stara kocica zdziczała, która żywiła się myszami polnemi. Pani Stagnettowa narwała w wielki kosz przepysznych czereśni czerwonych i białych, któremi częstowała nas dla orzeźwienia. Po odpoczynku na ławeczce w cienistym sadzie, schodziliśmy wężową drożyną nadół pomału, gdyż pani Stagnetto niosła na głowie na miękkiej podkładce kosz pełen czereśni do swojej winiarni. W Villafrance już pod wieczór wstąpiliśmy na kolację. Podano nam smażone rybki morskie „rougety", wino białe krajowe i wyborne owoce na deser. Filutka zostawiona w budce na cały dzień sama, znalazła nas w mieście i uradowana przyprowadziła do domu, aby dostać też swoją kolacyjkę.

Z nastaniem upałów majowych nasza mleczarka włoszka lub jej dwie małe córeczki, idąc do szkoły miejskiej, przynosiły nam co rano większą ilość mleka, 2 do 3 litrów. Z tego połowę wypijaliśmy świeże chłodne z chlebem; reszta zostawała na zsiadłe na kolację z ziemniakami. Mleko było wyborne, tak że czasem można było zbierać śmietankę do kawy na podwieczorek.

Z początkiem czerwca zaczęliśmy chodzić codzień do kąpieli w morzu, zwykle przed południem. U podnóża wysokiego podmurowania pod dworcem kolei i stacji Villafranki rozciągała się szeroka plaża, pokryta drobnym żwirem, osłonięta od zachodu, północy i wschodu wysokiemi górami. O kilka kroków od brzegu sterczały tam z wody dwie duże skały wapienia. Pod ich zasłoną kąpiel była wyborna — woda w sam raz głęboka po pas. Dalej dno morskie zwirowate zagłębiało się pochyło stopniowo coraz bardziej w toń szmaragdową. Ciepły wietrzyk i lekkie fale bryzgające pianą o skały orzeźwiały przyjemnie. Spokojnie tam było, bo nikt nie chodził tu do kąpieli. Czasem tylko gromadka chłopców pluskała się w wodzie, a potem goniła się po plaży. Suczka Filutka chodziła tam zawsze z nami, ale nie lubiła się kąpać, musiałem ją gwałtem wciągać do wody, z której wyskakiwała zaraz tarzać się po zwirze i biegać po słońcu dla wyschnięcia. Po kąpieli wracaliśmy powoli bulwarem nadbrzeżnym koło przystani do domu, załatwiając w mieście po drodze sprawunki i czyniąc zakupy wiktuałów codziennych.

Podczas upałów letnich zsychały się całkiem trawy i zioła, z drzew opadały zwiędłe liście. Słońce rozgrzewało silnie sterczące tu i owdzie skały. Na nich praczki miejskie rozwieszały bieliznę, która schła napoczekaniu i bielała pięknie, przejęta zapachem rozmarynu zeschłego, rosnącego gęsto na wzgórzach za miastem. Bieliznę tak wysuszoną składają tam równo starannie, układają płasko w stosy między dwiema deszczkami, i przy-

ciskają wielkim kamieniem. Wygładzoną w ten sposób nie maglują i nie prasują wcale, przez co nie drze się tak prędko i mniej z nią roboty.

Zrana niekiedy płynąłem moją szalupą na środek wielkiej zatoki Villafranki z wędkami sznurowemi na połów ryb. Łódź ustalałem spuszczając głęboko długą linkę przywiązaną do przodu, z kamieniem na drugim końcu. Wpatrywałem się nieraz długo w głębię wód rozjaśnioną promieniami słońca, w której wirowały roje polipów, meduz i rybek różnobarwnych. Czarowne było to wielkie akwarjum naturalne, mieniące się ciągle w głębinie szmaragdowej...

Raz niespodzianie usłyszałem wpobliżu wycie rozpaczliwe naszej suczki Filutki. Wyciągnąłem szybko wędkę i skierowałem łódź w stronę skąd głos dochodził. Na małej skałce sterczącej z wody koło tamy portu, ujrzałem Filutkę mokrą całą. Szukając mię wybiegła z domu, dostrzegła na środku Zatoki, a mimo że bała się bardzo wody głębokiej, przepłynęła z wybrzeża do skały podwodnej, i zaczęła wyć o ratunek. Wziąłem ją zaraz do szalupy i wróciliśmy szczęśliwie do domu.

Jednego dnia w przystani Villafranki pod koszarami, siedząc w mojej szalupie, uwiązanej przy bulwarze ciosowym, rysowałem widoczek statków stojących tam na kotwicy. Podszedł do mnie młody żołnierz z pakietem ukrytym pod połami munduru. Prosił mię pocichu, bym wziął nieznacznie ów pakiet i utopił w morzu niewidocznie. Objaśnił, że było to mięso zepsute wskutek upału i cuchnące, które wyniósł z kuchni koszarowej pokryjomu, aby nie być za to ukaranym. Narazie uczyniłem zadość jego życzeniu, lecz prosiłem, by mię nie obarczał więcej takiemi zleceniami. Mówił, że dostawcy intendentury przysyłają często do kuchni wojskowej mięso nieświeże nadpsute, którego nie mogą sprzedać gdzieindziej, a biedni żołnierze nie mają się gdzie użalić na te nadużycia.

Z końcem września zmniejszyły się upały, woda morska ochłodła. Do kąpieli chodziliśmy rzadziej. Zatoka nicejska i wogóle Morze śródziemne ma wodę bardziej słoną (bo 40 $^0/_{00}$) niż Morze północne (30 — 35 $^0/_{00}$) lub Bałtyk (8 — 20$^0/_{00}$). Ciepłota wód śródziemnomorskich w porze kąpielowej, od maja do września, jest również o wiele wyższa średnio, bo dochodzi do 22^0 centigrada, podczas gdy w morzach północnych, wymienionych poprzednio, wynosi w lecie średnio tylko 16^0 c., a sezon kąpielowy trwa tam trzy miesiące od lipca do września.

Wysokie pasma Alp nadmorskich zasłaniają swoje wybrzeża od wiatrów północnych; a w głębokich zatokach, jak pod Villafranką także od zachodnich i wschodnich — dając dostęp swobodny ciepłym południowym. To też średnia ciepłota miesięcy zimowych na Riwjerze dochodzi + 9 — 10^0 centigrada, a w Nicei tylko w styczniu zdarza się niekiedy przymrozek — 1^0 niżej zera. Śnieg należy tam do rzadkich zjawisk, i wyjątkowo spada

większy, poczem w krótce taje. Zwykle pruszy lekko w powietrzu, a padając na ciepłą ziemię — znika, zostawiając tylko trochę wilgoci. To też w grudniu i styczniu ogrody i sady okryte są tam kwiatem róż, pomarańcz, cytryn i t. p., a owoce ich niebawem dojrzewają.

Z nastaniem jesieni w połowie października, wiejące podówczas ciepłe wiatry południowe, przesycone wilgocią morską, spotykając w Alpach chłodne prądy powietrza północne, wytwarzają zwały chmur i deszcze ulewne przez parę tygodni. Ziemia zeschnięta podczas upałów letnich pulchnieje i ożywia się nanowo bujną roślinnością traw, ziół i krzewów. Kwiaty jednoliścieniowe: hiacynty, tulipany, narcyzy, mieczyki i t. p. wyrastają szybko, podobnie jak u nas w Polsce w kwietniu. Drzewa pokrywają się świeżym liściem. Zaczyna się jakby nowa czarowna wiosna, która trwa przeszło pół roku przez całą zimę aż do majowych upałów.

Cudzoziemcy zjeżdżają się na jasny słoneczny brzeg Riwjery ze wszystkich stron świata, chroniąc się przed mrozem i śnieżycami Północy. Nadchodzi karnawał, zaczynają się zabawy, koncerty, uroczystości, wyścigi konne, bitwy kwiatowe, regaty morskie, sezon kąpielowy — i tak corocznie wkółko.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego“, wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną), opis lat dziecięcych, czasów szkolnych w Kielcach, uniwersyteckich w Warszawie — działalność oświatową i publicystyczną autora tamże, jego podróż po krajach słowiańskich, na Wschód południowy oraz na Zachód, z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego"

w Kielcach, ulica Hipoteczna 30.

Wyszły z druku:

Zeszyt 1. Przedmowa. Wstęp. Rodowód familji Czarnowskich i rodzin z nią spokrewnionych. I. Mój ojciec i jego rodzina. II. Matka moja i jej rodzina. Cena Marek 75.

Zeszyt 2. III. Lata dziecięcie moje w Staszowie, Miechowie i Stopnicy (r. 1847 — 1856), rzeź galicyjska. Mk. 150.

Zeszyt 3. IV. Lata szkolne w Kielcach (1856 — 1860), wojna włoska. Mk. 185.

Zeszyt 4. Lata gimnazjalne w Kielcach (r. 1860 — 1864), powstanie styczniowe, bitwa miechowska. Mk. 390.

Zeszyt 5. V. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1864 — 186 5r.). Wydział przyrodniczy. Mk. 375.

Zeszyt 6. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1865—1869 r.). Wydział prawa i administracji. Mk. 650.

Zeszyt 7. VI. Wydawnictwa i aplikacja sądowa moja w Warszawie (1869—1873), wojna francusko-niemiecka. Mk. 390.

Zeszyt 8. VII. Księgarnia kolportacyjna w Warszawie (1874 — 1879 r.), wojna bałkańska, Wł. Spasowicz. Mk. 1050.

Zeszyt 9. VIII. Warszawska Bibljoteka słowiańska i Czytelnia czasopism (1880 — 1883), wojna egipska, Aleksander Świętochowski i Bolesław Prus-Głowacki. Mk. 660.

Zeszyt 10. IX. Listy z podróży na Wschód południowy (1882 r.). Ziemie słowiańskie. Mk. 430.

Zeszyt 11. Szkice z podróży na Wschód południowy. (1882 r.). Grecja, Azja mniejsza i Afryka północna. Mk. 2.800.

Zeszyt 12. Szkice z podróży przez Włochy (1882 r.). Mk. 2.600.

Zeszyt 13. Czytelnia czasopism w Warszawie (1883 r.) Mk. 6500.

Zeszyt 14. X. Podróż na Zachód (1884 — 1885 r.). Mk. 33000.

Zeszyt 15. Pobyt na Riwjerze. Mk. 350000.

Pod prasą dalsze części:

XI. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).

XII. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.).

XIII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917), wielka wojna europejska.

XIV. Pobyt w Kielcach (1918 — 1923 r.), oswobodzenie i niepodległość Polski.

XV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.